

# MAGDALENA STARZYCKA SŁOWO PIRATA



MAGDALENA  
STARZYCKA  
SŁOWO  
PIRATA

Copyright © 2011, Magdalena Starzycka  
Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie  
w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w  
jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach  
publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym  
zezwoleń właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-031-1

Projekt okładki: Maciej Sadowski  
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk  
Opracowanie redakcyjne: Dorota Koman

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

[kontakt@wydawnictwomg.pl](mailto:kontakt@wydawnictwomg.pl)

# Sierpień, a może wrzesień roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego

Friedrich Stein poczuł ciepło i blask na zamkniętych powiekach, pomyślał, że zasnął na plaży. Słońce prażyło, miał mocno spieczoną twarz. Budził się powoli. Jeszcze pamiętał obraz ze snu: to było na piaskach nadmorskich pewnego kurortu nad Morzem Północnym. Był dzieckiem zachwyconym zbliżającą się wysoką falą i biegł w eleganckim ubranku marynarskim ku morzu. Poprzez nieustanny szum fal i wiatr słyszał za sobą krzyk matki. Zdążyła go chwycić, zanim woda uderzyła, trzymała go mocno, a jej mokra spódnica zawinęła się wokół niego. Pozostawał tak szczepiony z nią nie tylko z powodu mokrej spódnicy, ale i wielkiego przerażenia. Kiedy potem był wycierany ręcznikiem na suchym piasku, jeszcze nie mógł się uspokoić, dygotał. Matka myślała, że z zimna, a to był strach. Zrozumiał w życiu dość wcześnie, że morze jest niebezpieczne, ale pociągało go zawsze. Teraz dziwił się powtórzeniu we śnie tej realnej, a nawet przejawionej w obrazie sytuacji z dzieciństwa.

Spokojny szum morza towarzyszył jego próbom wstawania. Nie było to łatwe: bolał bok, a kiedy podnosił się jeszcze na wpół przytomny, wrócił nagle do rzeczywistości. Zdał sobie sprawę z wydarzeń minionej nocy i świadomość tego, co się stało, powaliła go. Zamarł w trwodze. Ogarnął go lęk równie głęboki jak wtedy w dzieciństwie, powtórzony teraz we śnie.

W głowie huczało jeszcze wczorajsze ciemne i wzburzone morze, słyszał krzyki i wystrzały z pistoletów, miał przed oczyma przerażającą śmierć dwóch ludzi z załogi.

Piraci wtargnęli nagle, z zaskoczenia. Statkiem wiózł różne towary z Hamburga do Ameryki Łacińskiej. Przeznaczeniem ich były porty Gujany Francuskiej i Brazylii.

Wszystko to wróciło do świadomości w mgnieniu oka i wiedział już, że znajduje się w koszarnej sytuacji.

Rozejrzał się. Widok na ląd miał zasłonięty ogromną skałą, a za nią wyglądała jeszcze ponura, tonąca we mgle, wysoka góra... Był jak Robinson na kamienistym brzegu nieznanego lądu czy wyspy. Wszędzie kamienie, kamienie, kamienie albo skały. Krajobraz księżycowy – pomyślał. Poczuł się kompletnie samotny. Pytał sam siebie w popłochu: Czy są tu ludzie? A jeśli tak, to jacy? Czy udzielą mi pomocy? Czy resztę życia spędzę już tu, w samotności? W takim wypadku pozostałoby mi już niewiele... – myślał.

Wczorajsze wydarzenia przebiegły tak szybko, że w świadomości pozostały tylko fragmentaryczne kawałki, jak drobiny szkła z rozbitego lustra. Musiał poczekać, żeby złożyć je i wydobyć z tych zdarzeń jakiś sens, nie mówiąc już o tym, że nie zdołał przemyśleć ich konsekwencji ani przyjąć jako rzeczywistych i nieodwołalnych, zmieniających perspektywy, plany snute od dłuższego czasu.

Świat cały zaczął mu się walić od momentu wtargnięcia piratów na statek. Płynął z Hansem Hartmanem jako kapitanem. Przyjaźnili się, łączyły ich wspólne marzenia. Planowali uskładać pieniądze na zakup nowoczesnego parowca, który usprawniłby funkcjonowanie firmy przewozowej ojca, a oni dwaj weszliby do niej na prawie wspólników, w jakiejś ustalonej proporcji...

Tak, ale Hansa Hartmana już nie ma; wrył mu się w pamięć ten moment, gdy padł na pokład z roztrzaskaną głową. Ten łoskot upadającego ciała... Wydawało mu się, że ciągle go słyszy, jak z zaciętej katarynki. Hartman nie zdążył wyjąć pistoletu, a jego próbę sięgnięcia po broń zauważył przywódca piratów i teraz broń skierowaną prze-

ciwko Friedrichowi skierował na Hansa Hartmana i ten po ułamku sekundy padł pchnięty siłą wystrzału. Prawie w tym samym czasie, rzecz niesłychana, padł pierwszy piorun, ciemność zgęstniała, lunął deszcz i nastała nieprzenikniona czerń, przerywana błyskami piorunów. Nikt nie panował nad sytuacją, bo burza stawiała się jeszcze jednym nieprzewidzianym atakiem, skierowanym jakby przeciwko obu stronom. Naprzemiennosc światła i mroku nadawała okolicznościom nagłego napadu piratów piekielnego wymiaru. W tym morskim piekle wszyscy zaczęli myśleć tylko o zachowaniu własnego życia, no i ratowaniu statków. Przywódca piratów wołał swoich do odwrotu, tymczasem ich szkunerem, pozbawionym znacznej części załogi, zakręcił z wyciem szkwał, a potem usłyszeli złowrogi, przeciągły skrzyp łamiącego się drewna. Padający pal masztu wrzucił dwóch ludzi do morza, pozostali piraci uszli ze statku Friedricha i próbowali dostać się na swój, by go ratować. Ich szkuner pozbawiony sternika tańczył na morzu bezładnie.

Friedrichowi wydawało się, że burza przychodzi mu na ratunek. Kazał zrzucić żagle i wtedy właśnie poczuł tępe uderzenie w coś twardego, szkuner znieruchomiał. Wbity w skałę? Zaczął nabierać wody, pozostawili go więc tak, z zakrwawionym trupem Hartmana na pokładzie. Musieli się ratować.

W błyskach światła burzy, zatrwożeni, ostrożnie spuścili szalupy ratunkowe; potem płynęli. Te fragmenty pamiętał, wróciły teraz tak wyraziście, że stojąc na brzegu, zakrył dłonią uszy i zamknął oczy, jakby to mogło odwrócić sytuację. I miał wrażenie, że te strzały ciągle jeszcze padają. Chyba oszalałem – pomyślał, gdy zdał sobie sprawę ze swoich gestów. Miały one w magiczny sposób odwrócić rzeczywistość, a tylko potęgowały wrażenia z wczorajszych wydarzeń – obrazy i odgłosy walki. Zrobił kilka bezładnych kroków.

Wracał powoli do rzeczywistości. Nie wiedział nic poza tym, że jego żaglowiec nie nadaje się do podróży i że załoga zapewne przepadła.

I co teraz? Nawet gdyby jego ludzie przeżyli tę katastrofę, to sam był zbyt mało doświadczonym żeglarzem, żeby porywać się na morską podróż w roli kapitana statku. Czuł się bardziej kupcem niż żeglarzem.

I zrobiło mu się żal tych lat spędzonych w kantorze spedycyjnej firmy ojca na nabrzeżu, przy porcie w Hamburgu. Budynek firmy ojca wyróżniał się spośród podobnych i miał wielki sztyl ciągnący się wzdłuż całego domu, umieszczony wysoko tuż pod dachem, widoczny z szeroko tu rozlanej Elby, który ściągał uwagę wpływających do portu jednostek. Zdobywali tak klientelę, ale niebagatelna była też nieskazitelna opinia o niezawodności ich działania. Firma Steinów była znana w Hamburgu:

SPEDITIONSGESCHÄFT UND HANDEL ZUR SEE – JOHANNES STEIN UND SOHN Lda.

Obok widać było też inne sztyldy, przede wszystkim sąsiedni WERNER&GOSS SCHIFFSWERT&MASCHINENFABRIK, dostarczający im wiele zamówień. Interesy rozwijały się, szczególnie gdy fabryka Wernera zaczęła produkować duże maszyny parowe... Spotykał tu sympatycznego, młodego inżyniera Konrada Königa, z którym lubił rozmawiać, snuć obraz przyszłości. Czyżby obaj byli marzycielami?

To wówczas, pracując u ojca w kantorze, często patrzył przez okno na zakotwiczone statki żaglowe i nowoczesne parowce na redzie, tęsknił do dalekich podróży i przygód.

A teraz, kiedy zdołał zrealizować swoje marzenie, okazało się ono tak tragiczne w skutkach! I ogarnęła go nagle ogromna tęsknota za gderającą ciągle żoną, od której chciał odpocząć, i za szesnastoletnią szcziebótką. Czy już nigdy mam ich nie zobaczyć? Wszystkie te myśli przeleciały mu przez głowę jednocześnie i tak szybko, że poczuł się kompletnie wyczerpany pod ich ciężarem. Był zły na siebie, że nie umiał docenić przeszłego pokoju, stabilizacji. A teraz?

Dostał się na ten brzeg szalupą, ale nie pamięta nawet, jak wylazł na ląd ani dlaczego jest sam, bo w szalupie byli też ma-



rynarze. Pamiętał tylko gigantyczny wysilek, kiedy płynął wpływ do lądu, i wyczerpanie. Czuł się teraz bezradny jak małe dziecko i nieszczęśliwy.

Po jakimś czasie z pięćdziesiąt metrów od siebie dostrzegł ciemny kształt. To chyba moja, a może i nie moja szalupa wyrzucana przez morze – pomyślał. Na horyzoncie natomiast widać było żaglowiec z podartymi, powiewającymi jak flagi żaglami; jeden maszt był złamany. No tak, to piratów – pomyślał. Bliżej był drugi, tkwiący w dość nienaturalnej pozycji, z uniesionym lekko dziobem. To mój, nadział się na podwodne skały. Czy da się go jeszcze uratować? Pytania same pchały mu się do głowy. Kuśtykając, podszedł do szalupy. Stamtąd spostrzegł coś intrygującego. Posuwał się powoli, wolniej niż dyktowała mu to jego ciekawość, która gnała go naprzód. Kiedy się zbliżył, nie miał już wątpliwości. Poznał go.

Na brzegu leżał trup jego wroga, przywódcy piratów, który wczoraj wycelował pistolet w jego pierś – i wydawało się, że zaraz pociągnie za spust, ale zabił nie jego, tylko Hansa Hartmana.

Ostrożnie, z odrazą uniósł stopą ramię trupa. Zdziwił się, bo „trup” jęknął. On żyje!

Natychmiast oprzytomniał. Jego nienawiść była wielka – przecież ten leżący u jego stóp pirat zabił dwóch ludzi z jego załogi. Muszę go zabić – to była pierwsza myśl, odruch nienawiści i wewnętrzny nakaz pomśzczenia przyjaciół.

Wiedział, że piraci od lat są ścigani, wyjęci spod prawa. Przecież już ponad dziesięć lat temu podpisano w Paryżu międzynarodowe porozumienie w sprawie zwalczania piractwa! A oni odtąd działają jeszcze bezwzględniej, wiedząc, że jeśli ich złapią, będą natychmiast powieszeni. Wszelkie dokumenty kaperskie straciły już moc, korsarstwo oficjalnie przestało istnieć. Pozostał bandytyzm morski – powszechnie zwalczane piractwo.



Stał chwilę lekko pochylony nad leżącym, ale w końcu się opamiętał – chęć zemsty minęła; pirat był jedynym ocalałym człowiekiem, nikogo innego nie widział, pewnie utonęli. Spojrzał na wyniosłą górę, której szczyt tonął we mgle, na kamienie przy brzegu (nie wiedział, co kryły), i postanowił, jeśli tylko zdoła, uratować swojego prześladowcę. Nie chciał powiełać przygody Robinsona.

Jean Valbon, bo tak się nazywał ów pirat, opryskany przez Friedricha przyniesioną z morza zimną wodą, znów zaczął jęczeć, a po jakimś czasie otworzył oczy i dojrzał twarz stojącego nad nim mężczyzny. Wyrażnie przestraszył się, wydało mu się zapewne, że teraz to on będzie ofiarą silniejszego. Takie było jego prawo moralności i logiki.

Najpierw uniósł się nieco z trudem i rykiem podobnym do dźwięku wydawanego przez samurajów na japońskich filmach – który miał przestraszać czy dodawać odwagi? (Co prawda Jean Valbon nie mógł wiedzieć, że krzyknął jak samuraj, bo o istnieniu samurajów niewiele wiedział, a tym bardziej nie mógł oglądać żadnego filmu Kurosawy). Zaraz jednak zabrakło mu sił i opadł z powrotem na kamienie. Teraz leżał jak nędzarz, a nie samuraj. I zanim cokolwiek zdołał powiedzieć, odwrócił twarz i zwymiotował. Za dużo było w nim morskiej wody. Potem – w pełni świadomy, że jest w ręku człowieka, któremu wczoraj groził śmiercią, zapytał, przesłaniając ręką oczy:

– Co chcesz ze mną zrobić?

– Nic. – Dopiero po chwili milczenia Friedrich dodał: – Wydaje się, że uratowaliśmy się tylko my dwaj. W tej sytuacji jesteś zdany na mnie, a ja na ciebie, nie ma innego wyjścia. Najważniejsze to przetrwać. Może odkryliśmy nowy ląd albo wyspę? – zapytał, patrząc wokół. – I ciekawe czy są tu jakieś dzikie zwierzęta?

– Nie gadaj głupstw! Już wszystko zostało odkryte, co było do odkrycia. Zniosła nas burza z głównego szlaku na południe. To może być tylko któraś z Wysp Azorskich, i to zachodnia, prawdopodobnie

to jest Corvo albo Flores, wyspa portugalska, i żyją tu przyjaźni ludzie, i nie ma niebezpiecznych dzikich zwierząt.

Jean nie tłumaczył mu, że jako wilk morski znał te wyspy dobrze, nie miał siły i nie chciało mu się wszystkiego opowiadać temu szczeniowi lądowemu czy raczej przybrzeżnemu: o tym, że te wyspy od dawna były znane korsarzom i piratom różnego pochodzenia, że w końcu – po doświadczeniach walk z nimi – tutejsi ludzie zrozumieli, że jedyną szansę przeżycia daje przystosowanie się i posiedli niebywałą umiejętność adaptacji do wymagań nieproszonych gości, służyli im przez wieki jako gościnna przystań dla lizania ran odniesionych w walkach z morzem czy z wrogimi bandami korsarskimi i pirackimi albo w naprawie statków i wszelkiego sprzętu żeglarskiego i oferowali inne usługi; że w ciągu osiemnastego stulecia nawiązali przyjazne kontakty z amerykańskimi załogami statków wielorybniczych i do dziś byli ich cenionymi towarzyszami w wyprawach połowowych. Czuli dlatego więc ze Stanami Zjednoczonymi, z Bostonem, dokąd często emigrowali. Nie informował go o tym, że sam był już tu wielokrotnie.

Dopiero potem, kiedy podniósł się z pomocą Friedricha na tyle, żeby się obejrzeć, powiedział:

– To jest Corvo. Widzę to po kształcie góry ze szczytem w wiecznej mgle. Jesteśmy uratowani! Nie bój się! Trzeba im tylko dobrze zapłacić i z ich pomocą nie tylko ściągniemy i naprawimy statki, ale też wyruszymy dalej. To są bardzo dobrzy żeglarze. Widzisz? Nie mogę się ruszać, mam coś z nogą. Pójdź do szalupy, w każdej jest zapas słodkiej wody, muszę się napić, bo mi w gardle zaschło, tobie też się przyda. Może znajdziesz tam też coś więcej, jakieś suchary, jakąś ukruszoną głowę cukru, jeśli nie rozmyła się ze szczętem?

– Dobrze, ale najpierw musi się pan przenieść wyżej na skały, bo zaleje pana woda, zaczyna się przypływ, pozostawać tu niebezpiecznie.

Jako niepostrzeżenie wrócił w rozmowie z tym człowiekiem do formy trzeciej osoby – czyżby poczuł nagle obcość wobec niego, jeśli miało się okazać, że nie są jedynymi ludźmi na tej wyspie? Usłyszał odpowiedź:

- Piraci zwracają się do siebie na „ty”!
- Ale ja nie jestem piratem!
- Ale będziesz! Masz inne wyjście?

W końcu, bez dalszych dyskusji, Friedrich, sam osłabiony wydarzeniami poprzedniej nocy, a teraz szukaniem jakiegoś pożywienia, chwiejąc się na nogach, taszczył go z wielkim wysiłkiem pod górę. Ten najpierw darł się w niebogłosy, bo szorował plecami po kamieniach. Friedrich zatrzymał się zdyszany, bo cielsko pirata było ciężkie, i rozejrzał się wokół. Opodal leżała jakaś deszczułka, obok druga, chyba kawałki starej beczki wyrzucone przez morze. Zrobił z nich coś w rodzaju prymitywnych sań, podłożył je pod rannego i, każąc mu trzymać się deszczulek, ciągnął w górę mimo jęków i okrzyków Jeana, który, prawie bezwładny, wołał, że kolano mu pęka. Widać doznał kontuzji podczas nocnych wydarzeń i bolało go bezustannie. Ta przeprowadzka na wyżej leżące skały trwała długo i gdyby ich ktoś mógł obserwować, pomyślałby, że to jacyś śmiertelnie chorzy bracia wspierający się wzajemnie, a nie śmiertelni wrogowie!

Kiedy wreszcie po godzinnej udręce taszczenia potężnego pirata Friedrich usiadł zmęczony obok rannego, zaczął rozmyślać o tym, co ich czeka i czy warto było ratować tego zbója. Czy to nie zdrada wobec zamordowanego przyjaciela? Czuł się bardzo nieswojo.

Potem zajął się rzeczami przyziemnymi, szukając w szalupie czegokolwiek do zjedzenia.

Skały w tym miejscu wydawały się trudne do przebycia i mogliby tu tak siedzieć uwięzieni nie wiadomo jak długo. Słońce paliło.

Oslabienie powodowało, że leżeli jak w malignie, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Tymczasem Friedrich, ocknąwszy się, zauważył, że z jego przymusowym towarzyszem jest źle. Rzęził nieprzytomny, widać miał gorączkę. Znów Friedrich chodził po wodę, osłaniał chorego od słońca, przemawiał do niego, próbował go ocucić.

Stary pirat miał rację. Rzeczywiście po kilku dobrych godzinach, które Friedrich strawił na próbach ratowania Jeana, pojawiła się blisko brzegu wiosłowa łódź rybacka. Ożywił go ten widok. Friedrich stanął i, żeby go zauważyli, zaczął machać rękoma, a potem zdjętą koszulą. Zauważyli!

Dźwignęli z plaży połamanego Jeana i włożyli do łodzi. Jean, gdy nieznajomi nieśli go do łodzi, jakby oprzytomniał. Jęcząc i krzycząc z bólu, zaczął gadać z nimi w jakimś dziwnym narzeczu, pełnym szeleszczących dźwięków. Jednak po chwili znów zapadł się w sobie. Ile ten diabeł morski zna języków – przemknęło przez myśl Friedrichowi. Oni, Friedrich i Jean, porozumiewali się dotąd po francusku.

Okrążyli łodzią wyspę i podплыnęli do bardziej dostępnego brzegu, gdzie zbudowano osiedle Vila do Corvo. Na ich spotkanie wyszli z domów jacyś ludzie.

Zanieśli chorego do jednego z mrocznych, zbudowanych z kamienia domostw. Przy ogniu krzątała się kobieta. Zawołali znachora. Zajął się potrzebującym, który krzyczał głośno, gdy nastawiano mu kości. Zdaje się, że czarownik czy znachor dał mu coś na sen, żeby odpoczął.

W tym ponurym domu, oświetlonym ogniem z kominka, a kiedy zapadł zmrok, lampką oliwną, Friedrich czuł się obco. Nie umiał się porozumieć z miejscowymi. Jean tymczasem spał lub znów był nieprzytomny.

Wieczorem domownicy usiedli na ławach przy stole, zaprosili go gestem i kobieta nałala mu do glinianej miseczki dziwną zieloną zupę. Poza tym jedli jeszcze chleb kukurydziany, łamiąc go po kawałku, i częstowali smażoną rybą oraz mocno wędzonym boczkiem. Dom pachniał cały. Na poprzecznej belce, biegnącej przez całą szerokość izby, wisiały pęki ziół na przemian z wędzonym mięsem i rybami. Lśniła świeżością wiązka liści; że to laurowe, dowiedział się nazajutrz od Jeana, kiedy ten lepiej się poczuł. Widać był to dom miejscowego bogacza.

Friedrich miał nadzieję, że Jean rzeczywiście wydobrzeje i będzie się mógł z nimi porozumieć w sprawach istotnych.

Friedrich znał morze, niejednokrotnie pływał ze zleceniami spedycyjnymi powierzanymi przez ojca; zresztą w przyszłości ta firma miała należeć tylko do niego, to tylko kwestia czasu. Pływał więc do Anglii, Danii, nawet raz był w Norwegii, nigdy dalej. Marzyła mu się zawsze prawdziwa podróż, daleka, za ocean, na drugą półkulę, a kiedy został wysłany z cennymi częściami maszyn produkowanych w Hamburgu do Brazylii i Gujany, znalazł się w tak tragicznych warunkach! Pływał zawsze z załogami związanymi od lat z firmą ojca. A teraz czuł się zdany na człowieka nieprzewidywalnego. Cóż on, Friedrich, mógł wiedzieć o duszy pirata? Czego można się po takim człowieku spodziewać? Zresztą czy on wyżyje?

Rano Jean poczuł się lepiej, choć noga była ciągle bardzo spuchnięta. Kazał zawieźć łodzią siebie i Friedricha do żaglowców smętnie kiwających się na morzu. Nie mógł chodzić, zanieśli go więc do łodzi, a on żartował, że ręce potrzebniejsze są żeglarzowi. Spieszył się bardzo. Jasne, że chodziło o zabezpieczenie ich statków. Popłynęli w trzy łodzie – potrzebni byli ludzie do naprawy i transportu.

Dla Friedricha była to podróż w tragiczną, niedawną przeszłość. Wiedział, że na pokładzie pozostał trup przyjaciela. Trzeba go

będzie pochować... Był ponury i spięty. Miał wrażenie, że Jean to rozumie, bo zamilkł, przybierając poważny wyraz twarzy. Kiedy przyłynęli na miejsce, okazało się, że ciała Hansa Hartmana już tu nie ma, widać zmyło je morze... Pomodlił się, a za jego przykładem poszedł Jean i tubylcy. Z ciężkim sercem przyszło mu pracować przy ratowaniu żaglowca.

Ze szkunerem Jeana nie było tyle kłopotu, co z Friedricha. Przede wszystkim przełożyli ciężki ładunek do łodzi rybackich i do żaglowca Jeana. Podnieśli dźwigarami (sprytnie pomyślanymi prostymi dźwigniami) dziób jego statku jeszcze wyżej, podłożyli jakieś belki, zabezpieczając przed otarciem kadłub, przygotowali pole manewru do załatania uszkodzenia. Wracali tam jeszcze przez kilka dni. Ostatniego, prowizorycznie naprawiony żaglowiec płynął w towarzystwie łodzi rybackich przy sprzyjającym wietrze. Dotarli tak o zmroku do osady. Ten dzień był szczególnie męczący, ale przyniósł pocieszenie.

Zobaczmy, może jakoś się z tego wykaraskam – myślał Friedrich. Ciążył mu jednak niezmiennie brak jego zaginionych ludzi. Nie miał na to żadnej rady ani nadziei, że zobaczy ich żywych; pozostawało mu piekące poczucie winy, jakby mógł tu w czymkolwiek zawinić!

Jean i Friedrich znaleźli tymczasem przyzwoite schronienie w domu przy nabrzeżu i czuli się pewniej, widząc tkwiące opodal na wodzie żaglowce, które czekały na naprawy bardziej skuteczne i pewne.

Obserwując życie tutejszych ludzi, Friedrich ciągle się czemuś dziwił, ale panował nad swoim językiem, żeby nie wydać się zbyt nieświadomym przy starym wilku morskim. Zauważył, że miejscowi byli małomówni. W większości byli to przedstawiciele mieszanej rasy, w rysach ich często

dostrzec można było dalekie wspomnienie przodków murzyńskich. Od Jeana dowiedział się, że są potomkami dawnych niewolników sprowadzonych z Afryki, którzy przemieszczały się z Portugalczykami i innymi ludźmi później tu osiedlonymi. Byli bardzo sprawni w robocie.

Następnego dnia odwiedził ich miejscowy ksiądz, pobłogosławił i zamienił kilka słów z Jeanem. Wydawało się Friedrichowi, że ten jego „kompan z musu” zna tu wielu i przez miejscowych jest traktowany jak stary znajomy. Pewnie musiał tu bywać nie raz i nie dwa.

Tymczasem rozglądał się. Osiedle było niewielkie, mieszkało tu z górą kilkaset osób, trudnili się uprawą, pasterstwem, wokół widać było i słychać stada owiec, ale pracowało też wielu rybaków – młodzi z rana wypływali w morze, starzy pozostawali, wypłatając sieci. Pod wieczór obserwował grupki kobiet na brzegu – w czarnych chustach na głowach z niepokojem czekały na powrót mężów.

Zauważył też, że jako obcy wywoływał zainteresowanie miejscowych. Gdy chodził po wyspie, towarzyszyła mu zawsze zgraja dzieciaków, obserwująca go z oddali. O tutejszych mężczyznach wiedział już, że byli znakomitymi żeglarzami, bo obserwował ich pracę podczas ściągania uszkodzonych szkunerów.

Przeszedł się w głąb tej niewielkiej wyspy i zobaczył jej środek: wkleśły teren z nieznaną mu zielenią i dwoma jeziorami, na których widać było archipeląg wysepek. Wyglądało to niezwykle. Urodę miejsca podkreślały kwiaty, których nazw nie znał. Dowiedział się potem, że to teren wygasłego wulkanu. Stąd ziemia na ogół była kamienista i niezbyt urodzajna, ale na zboczach wkleśnięcia powulkanicznego rosły rośliny gdzie indziej niespotykane. Na trawiastych wzniesieniach stało kilka młynów, których białe skrzydła wiatraczne przypominały żagle, ot jakby fok znalazł zastosowanie u odpoczywającego na lądzie marynarza. A z tych wzgórz rozciągał się piękny widok na dolinę! Z jednej strony wyspy widać było (jeśli opadła – częsta tutaj – mgła) następną większą wyspę. Mieli dużo szczęścia, że gdy fale wyrzuciły ich na brzeg, świeciło słońce.



– To Flores – powiedział mu Jean. – Corvo jest najmniejsze w archipelagu.

Stał tak, patrząc na okolicę, i łowił uchem nieodległy furkot skrzydeł młyna wiatracznego, popisukiwanie małych kaczek i odległą pracę ludzi w kuźni – uderzenia młota w kowadło. Idylla – pomyślał.

O, gdyby Jean i Friedrich mogli wiedzieć, że pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku pewien krakowski ekolog wymyślił, że na tej wyspie udałaby się hodowla sarenek!

Nic to, że saren nigdy tam nie było. Od czego ekologia? Wszystkie dane zebrane przez Polaka wskazywały na to, że mogłyby być!

A był to w Polsce czas nie tyle transformacji ustrojowej, co kompletnego upadku systemu socjalistycznego, zapowiadającego trudne do przewidzenia zmiany w kraju. Polacy robili interesy świetne lub mniej świetne i ekolog postanowił sprzedać polskie sarny, ale sprzedać dobrze, więc nie prostym ludziom z Corvo, tylko przedsiębiorcom ze Stanów Zjednoczonych! Zresztą po co prostym ludziom na Corvo sarny? Amerykanom owszem...

Zjechali więc na Corvo pewnego dnia wszyscy wraz: inwestorzy, budowniczowie nowoczesnych hoteli wielopiętrowych i sam ekolog pomysłodawca. Oglądano teren, pokazywano, gdzie co stanie. Prowadzono z przedstawicielami miejscowej ludności negocjacje dotyczące sprzedaży ziemi.

W tym czasie ludność na wyspie już się przerzedziła. Młodzi wyjechali do pracy (na ogół do Stanów Zjednoczonych), więc grupa cudzoziemców na wyspie bardziej rzuciła się w oczy.

Amerykanie – głośni, pewni siebie – tłumaczyli, że teraz bieda, ale potem, jak hotele wyrosną i przybędzie sarenek z Polski, które się dobrze i szybko rozmnażają i które będą rosły równie szybko jak hotele, będzie tu wszystkiego w bród, a szczególnie dolarów amerykańskich, przywożonych przez bogatych myśliwych ze Stanów, którzy do sarenek będą... strzelać.

Ludzie swoim zwyczajem milczeli i im lepiej w opowieściach Amerykanów miało się powodzić miejscowym, tym ci więcej żądali za swoją ziemię. Koszty rosły, rosły i zdenerwowanie Amerykanów i polskiego ekologa też, bo ten ostatni trzymał już na swoim bieszczadzkim terenie sarenki i daniele przygotowane do podróży. A na dodatek te sarenki i daniele w Polsce, na jego prywatnym terenie lasu bieszczadzkiego, wydawały się sąsiadom zjawiskiem zagadkowym: w socjalizmie? Przecież lasy, jeziora i zwierzęta są własnością wspólną, społeczną, narodową! Coś im się nie podobało, ale sarkali po cichu, bo mówiono, że ekolog ma układy wysoko w Warszawie. Z takim lepiej nie zadzierać...

I teraz ekolog, odchodząc wraz z Amerykanami, czuł wielką zgryzotę. Pukał się w czoło tak samo jak Amerykanie i wraz z nimi zgodnym chórem powtarzał: „Co za głupi naród, zostaną teraz z tą swoją biedą, dobrze im tak, a przecież chcieliśmy im tylko pomóc...”.

Nie wiedzieli, że miejscowym o to tylko chodziło: żeby sobie poszli. Oni pamiętali przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści o tym, jak to złupili ich kiedyś, bardzo dawno temu, korsarze angielscy, potem próbowali tego samego piraci algierscy, ale nikomu nigdy nie udało się zawładnąć wyspą. Przegonili wszystkich.

Kiedy po raz pierwszy przegнали potężnych Anglików, to aż sami byli zdziwieni, bo Anglików było dużo i byli potężni. „To musiał być cud” – ktoś powiedział. Ktoś przypomniał o starym obrazie Matki Boskiej, który wystawiali w obliczu niebezpieczeństwa i trwogi, i zrozumieli, że to ona pomaga im w obronie. Zawsze. Uwierzyli w to bardzo mocno i nazwali ten obraz Najświętszą Panienką od Cudów. Zawsze był wystawiany w czasie walk. Potem – umieszczony w kościele – podziwiany był przez odwiedzających wyspę turystów, którzy wysłuchiwali relacji o dawnych walkach i cudownej obronie.

Miejscowi wiedzieli, że ci z Ameryki chcą zrobić to samo co piraci w przeszłości, ale po dobroci, z pomocą dolara. Wiedzieli, że

wyspa jest nieduża i zadeptaliby ją obcy. A oni chcieli być u siebie i nie czuć się obcymi na swojej wyspie.

Kto wie, czy obraz i teraz nie pomógł w odegnaniu dolara bogatych Amerykanów?

Dlatego dziś jest tu spokój i mieszka niewiele ludzi. Ci, co chcieli, wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, pozostali ci, którzy cenią sobie spokój, zielen i przyrodę. A polskie sarenki? Skubią sobie ciągle polską trawę.

Ludzie przybywający dziś, w XXI wieku, na wyspę Corvo, aby ze statków obserwować wieloryby czy delfiny, są nieświadomi tej możliwej historii, którą należałoby umieścić w trybie przypuszczającym: bo gdyby propozycję przyjęli to... Na szczęście nie przyjęli.

Zresztą w tym mniej więcej czasie, gdy ekologowi śniły się sarenki na Corvo (był to widać czas projektów niezrealizowanych czy nawet nierealizowalnych) pewien generał portugalski na Azorach wpadł na pomysł oderwania Azorów od Portugalii i przyłączenia ich do Stanów Zjednoczonych, bo po pierwsze – leżą w połowie drogi między Portugalią a Stanami Zjednoczonymi, a po drugie – obywatelom amerykańskim wiedzie się lepiej niż portugalskim, nie mówiąc już o tym, że Amerykanie muszą płacić spore sumy Portugalczykom za bazy wojskowe zlokalizowane na Azorach. W końcu jest to teren strategiczny...

Pewnego dnia ów generał ogłosił, że nadszedł czas, żeby się wyzwolić spod panowania portugalskiego, i wezwał społeczeństwo Azorów do buntu. Azorianie (tak nazywają siebie mieszkańcy Azorów: *Açorianos*) jednak buntu nie poparli... Głos zabrał ówczesny prezydent Portugalii Mario Soares i w mowie do narodu, transmitowanej przez telewizję (która na Azorach działała wówczas jedynie przez kilka godzin w ciągu dnia i prezydent pewnie musiał to wziąć pod uwagę, decydując o czasie swojej wypowiedzi) wytłumaczył, że to nie kolonia, bo wyspy nie były zamieszkałe, kiedy przybyli

tam pierwsi żeglarze portugalscy, więc nie może być mowy o wyzwaniu. Teren jest portugalski.

Niedługo potem, w tejże telewizji, pokazano smutnego generała w kajdankach, który odąd przeszedł na tryb życia i wikt więzienny.

Kto dziś pamięta o generale, który chciał „wolności” dla Azorian?

Tym bardziej kto może pamiętać o projekcie sprowadzenia z Polski „ekologicznych sarenek” na Corvo? I o tym, że mogli do nich strzelać Amerykanie? Kto pamięta o projektach drapaczy chmur na wyspie, która ma sześć kilometrów długości?

Zostawmy ten tryb przypuszczający wtrącony, dotyczący wydarzeń ewentualnych, o niemal sto lat późniejszych, więc niezwiązanych ani z Friedrichem, ani z Jeanem! Bo ci byli rzeczywisti! Jednak mówiąc o przeświadczeniach Friedricha, muszę znów użyć tego trybu, bo niejednokrotnie myślał on, że gdyby nie całkowite zaskoczenie w momencie napadu piratów i gdyby miał broń w rękę w odpowiednim momencie, zabiłby z pewnością bez lęku ani zastanowienia Jeana. A teraz obaj znaleźli się w sytuacji, która narzuciła konieczność współpracy, a kto wie, może nawet przyjaźni? Jakie to dziwne – myślał Friedrich – jak wiele zależy od warunków, w których znajduje się człowiek!

Oba statki zostały naprawione, ale jeszcze przedtem, po dwóch dniach do wioski dotarli trzej obdarci ludzie. To rozbitkowie: dwaj od Friedricha i jeden od Jeana. Przyszli wyczerpani, głodni, pokonując skaliste góry, kalecząc się na bezdrożach o kamienie. Żywili się przez ten czas jakimiś dzikimi owocami i wodą z jeziorzek i takich, kompletnie wykończonych, przyprowadzili miejscowi do domu Friedricha i Jeana. Przybysze zdziwili się, że ci dwaj są zdrowi i cali (co prawda z nogą Jeana jeszcze nie było dobrze).

Trzeba było teraz czekać na dojsie do siebie odnalezionych. Tymczasem Jean zbierał dodatkowych chętnych do swojej załogi i do załogi Friedricha, agitując wśród tutejszych ludzi.

Friedrich miał jeszcze pracę z osuszaniem zalanej części szkurnera i materiałów przez niego transportowanych. W tej części zagłowca, gdzie dostała się woda, znajdowały się ładunki metalowe – części maszyn, narzędzia. Trzeba było je starannie osuszyć, czasem doczyścić, żeby nie zżarła ich rdza. Pomagało mu w tym dwóch ludzi, cudem odnalezionych wówczas, gdy myślał, że nikogo ze swej załogi nigdy już nie zobaczy. Jeden z nich, Frank, był doświadczonym żeglarzem, zaś młodszy, Hans, wydawał się zszokowany i nieufny. Komitywa Friedricha z tym bandytą, francuskim piratem, wydawała mu się niezrozumiała. Przecież to morderca kapitana...

Dwa dni przed planowanym wypłynięciem zaczęło od rana grzmieć i przeszła burza nagle, silna, szybka. A potem rozpogodziło się i ujrzeli tęczę. Ta tęcza wprawiła ich w zdumienie: wisiała nad horyzontem, obejmując okręgiem cały widoczny teren, z nimi pośrodku – jakby znajdowali się w centrum tęczy wyrysowanej przez Najwyższego tak, jak dzieci rysują koła do gry w klasy. Jean, widząc to, roześmiał się na całe gardło i krzyknął:

– Ludzie! Wszyscy jesteście święci! A to nasza aureola zbiorowa!

Potem powtarzał to w tutejszym szeleszczącym języku. Wydaje się, że dla miejscowych to zjawisko nie było wielkim zaskoczeniem. Może już coś takiego przeżyli. Jak mówił potem Jean, miejscowi twierdzili, że to dobry znak. Cieszyli się z tego wszyscy żeglarze, brali przecież pod uwagę, nieodległą w czasie, podróż morską. Czekало ich nieznanne.

I tego dnia o zmierzchu, gdy ich odzienie zostało już wyprane kijankami na brzegu strumienia, a potem wysuszone i połatane przez miejscowe kobiety, zaś oni zaopatrzeni w żywność i zapas słodkiej wody, a statki przygotowane do drogi, Jean, utykając jeszcze mocno, zabrał Friedricha na krótki spacer. I nastąpiła wtedy, niespodziewanie dla Friedricha, spowiedź starego pirata. Przebijał w niej żal do całego świata, do niestałości jego praw,